

Norbert Pilarz

Nie ma po co

I.

Najważniejsze to znowu nie zapomnieć tych przeklętych kabli. Trzeba po raz setny sprawdzić wszystkie przegródki, kieszonki, ukryte kieszonki i wszystkie inne miejsca, w których nawet nic nie ma. A dokumenty są? Są. A tę niebieską kurtkę spakowałem? Spakowałem. Może szczoteczka na stoliku została? Jest w torbie. Ale ładowarki to na pewno zapomniałem... Nie, jednak jest.

Później należy zajrzeć do każdej półki i jeszcze raz upewnić się, że jakaś rzecz, której nie da się zakupić w żadnym miejscu na świecie, nie została zapomniana. Wszystko spakowane. W tym momencie można włożyć buty, zamknąć drzwi i wyjść. Po wyjściu (pomimo tego, że torbę trudno unieść) w głowie powinno pojawić się dręczące uczucie zapomnienia nieokreślonej rzeczy, bez której nie sposób przeżyć tygodnia poza domem. Trzeba tę myśl odrzucić i uznać za typowy syndrom podróżniczy.

Gdy jesteśmy już dość daleko od domu, nadchodzi idealny moment, aby przypomniało się nam, że zapomnieliśmy spakować jakichkolwiek skarpetek.

Po co podróżować? Po co wiecznie tułać się gdzieś z dala od domu, wracać na chwilę, ponudzić się i jechać dalej, gdzie indziej? Po co wiecznie gdzieś pędzić, jechać, lecieć? Aby być zdolnym odpowiedzieć na którekolwiek z tych pytań trzeba najpierw dokładnie określić, o jaki typ podróży nam chodzi. Przecież podróżować można na różne sposoby i w różnych kierunkach. Można na własną rękę samochodem, można samolotem, można (ahoj przygodo!) autostopem, można nawet na nogach, jak blisko. Można jechać do Paryża, do alpejskiego kurortu, można w Andy, do Łeby, można do Hajdúszoboszló, do Zabajkalska, można do Tokio, można do... Zaraz! Kto niby jeździ do Zabajkalska? I to tak celowo; z własnej woli? No, Stasiuk. A dlaczego niby? I właśnie w tym rzecz – dlaczego? Zacznijmy od samego Stasiuka – to taki trochę człowiek – archetyp. Archetyp takiego włóczęgi, którym wielu chciałoby skrycie być. Jeździ starym, na wpół zdechłym

samochodem, przegląda rozpadające się mapy z papierosem w gębie i błąka się gdzieś po wiejskich drogach nikt nie wie po co ani dlaczego.

I właśnie w tym cała zabawa – dowiedzieć się, po co to wszystko.

Co jasne – samo odwiedzanie tych miejsc przez pisarza, nie jest na tyle zagadkowe, a bardziej chodzi o cel, w jakim to robi. W końcu na wschód można podróżować różnie. Odwiedzać równie odpychające pod każdym względem zwykłego człowieka miejsca i mieć przy tym odmienne motywacje. Kapuściński w swoim „Imperium”, mimo że przedzierał się przez śnieg w syberyjskich wioskach, obserwując kompletne niszczenie i rozkład zarówno miejsc, jak i ludzi – co wydawałoby się skrajnie Stasiukowe, to efekt jest zupełnie inny. Reporter opisuje miejsca, zatapiając się w ich historii (na której odciskała piętno historia całego, tytułowego Imperium), aby dostarczyć nam obraz tego, jak ideologia mogła wpłynąć na kształt obecnych terenów i na mentalność oraz życie wielu pokoleń ludzi, którzy muszą żyć w tej rdzy.

Stasiuka z Kapuścińskim łączy niewiele. Co prawda – niekiedy można znaleźć małe podobieństwa, takie jak moment podróży Kapuścińskiego koleją transsyberyjską, gdzie opisany jest stan na pograniczu jawy i snu, w który wprowadza jednostajny krajobraz ziem jałowych, na których czas przestaje mieć znaczenie i ulega kompletnemu rozpadowi, a człowiek jest gdzieś w środku tej zupełnej próżni skazany sam na sobie. Drugą taką szczególną chwilą jest ta, kiedy Kapuściński odwiedza Drohobycz, obserwując obszary będące światem Brunona Schulza, tak jak Stasiuk odwiedzając Rășinari, poruszał się wśród krajobrazów towarzyszących dorastającemu Emilowi Cioranowi. W takich momentach nasuwają się pytania: Czy te miejscowości różnią się czymkolwiek od tysięcy innych? Czy można w danych miejscach poczuć choć kawałek tego, co czuł w nich ktoś inny?

Tym jest chyba podróż na wschód – próbą odzyskania własnej pamięci, przez życie innych. Polska żyła zawsze gdzieś w cieniu wschodu. Będąca jego odbiciem; małym elementem, który nie może już wyrzec się swoich korzeni, ale z drugiej strony chce odciąć się od tego wszystkiego uważając, że już nic z tego nie zostało. Więc Polska stała się państwem rozdartym gdzieś między wschodem a zachodem (sam Stasiuk we „Wschodzie” mówi, że jest człowiekiem wychowanym przez dwie kultury – amerykańską i radziecką). Rozdarta, tak samo, jak wiele innych krajów, w których to niezdecydowanie jest jeszcze bardziej widoczne niż w naszym państwie. Na przykład opisywany w „Jadąc do Babadag” Kiszyniów, w którym wszyscy ubrani są jak wzór kiczowatości, a młodzi, łysi chłopcy, chcą jak najbardziej upodobnić się do amerykańskich gangsterów. Takie obrazy mogą przypominać nam filmy Kusturicy, w szczególności „Czarnego kota, białego kota”, gdzie wśród małomiasteczkowego, bałkańskiego krajobrazu pojawia się w ludziach chęć upodobnienia do

„innych” prowadzących „lepsze”, „zachodnie” życia, co kończy się tym, że, co elegantszy wygląda jak stereotypowy alfons. Cała ta rewia pstrokatych, tandetnych ubrań przelatujących przez ekran w akompaniamencie amerykańskich disco - szlagierów uwydatnia wrażenie rozpadu ogarniającego te zapomniane miejsca. Dzieje się tak, gdyż to wszystko wygląda na działania opresyjne – jakby wszyscy próbowali oszukać samych siebie.

Dlatego może tak łatwo Stasiukowi odnaleźć przeszłość na wschodzie – wiedząc, że te często odległe krainy kryją w sobie coś niesamowicie nam bliskiego i znanego. Niekiedy lekko zniekształconego, przez odmienną kulturę, czy dominującą religię, niekiedy trochę wyolbrzymionego, bardziej karykaturalnego, ale nadal – takiego, dziwnie znanego. To by też wyjaśniało dlaczego, tak wielu ludzi uznało rumuńską „Sierranewadę” za film mogący powstać w Polsce. Mimo tego, że całość opiera się na prawosławnym obrzędzie, a w tle wspomniana jest historia Rumunii – to i tak te wszystkie szare bloki, postsocjalistyczne mieszkania albo tematy rozmów członków rodziny – były jakby wyciągnięte z naszego, polskiego życia. Stąd też wrażenie, że większość żyć, prowadzonych przez ludzi na terenie państw, na które system komunistyczny miał jakiś wpływ – mogła być naszym życiem (i nie zauważylibyśmy większej różnicy, chyba że byłaby to pustynia gdzieś w środku Mongolii, to wtedy mogłoby być gorzej).

Z niewyjaśnionych powodów lubimy wracać. Wspominać. Nie tyle z nostalgią, ile z chęcią odświeżenia przeszłości. Przywrócenia jej choć na chwilę. Niestety – pamięć jest zdradliwa, wszystko z czasem rozmywa się i zanika. Dlatego warto jechać. Zobaczyć na własne oczy. Jeszcze raz się w niej zatopić. Tak jak w „Osiołkiem”. Wejść w przeszłość (w sensie dosłownym) i przenieść ją do teraźniejszości. Bo nie robi nam różnicy, jak bolesna i katastrofalna jest. Chcemy cały czas trzymać to, co było kiedyś w czasie teraźniejszym, blisko nas. Tak jak gdyby przeszłość rozmyta i nieprzeżywana na nowo miała nas „wyprać” z tego wszystkiego, co identyfikuje nas jako osoby. A takie bezgraniczne zatopienie się w czasie przeszłym, może skutkować tym, że skończymy (tak jak ta kobieta z chustą na głowie, siedząca przed rozpadającą się chatą na pustyni) w beczasie.

II.

Podróże są dla większości, przede wszystkim małymi marzeniami. O czymś lepszym, niespotykanym i pięknym. Wizjami miejsc, które nas odmieniają, pozwolą poznać coś nowego, dzięki którym rozwinie się „jako ludzie” (albo nawet staniemy się kimś zupełnie innym, niż byliśmy do tej pory). Przez takie mrzonki wszyscy jesteśmy trochę siostrami z „Trzech siostr” Czechowa, marzącymi o powrocie do Moskwy (w której życie miałoby nie być już tak smętne i wtórne, a zdarzyć miało się tylko to, co najlepsze), albo Marceliem z „W poszukiwaniu straconego czasu” śniącym o Wenecji.

Tylko że podróżując przez Altan Els, nie możemy tak myśleć.

Miejsca odwiedzane przez Stasiuka są wiecznością. Wiecznością przygniatającą z każdej strony i pochłaniającą bez reszty. Są niczym krajobraz z „Pewnego razu w Anatolii” Ceylana. Powtarzalne, bezludne przestrzenie, które nocą stają się jeszcze większą nierozróżnialną „jednością”. Krążąc wiele godzin po takich nieskończonościach, wszystko staje się jakies nieważne. Sprawy egzystencjalne mieszają się z tymi najbardziej przyziemnymi, gdzieś z tyłu głowy powraca poczucie winy za dawne przewinienia, a przecież jeszcze tego trupa trzeba znaleźć! Reżyser wprowadza nas w trans, w którym dryfujemy na tafli snu, próbując jakoś poskładać wszystko do kupy segregując otrzymywane informacje na te mniej i bardziej ważne. To samo, zresztą, dzieje się w głowach głównych bohaterów, którzy na wpół uśpieni, zmęczeni całym dniem, muszą zmierzyć się ze sprawami nowymi, powszednimi, jak i tymi dręczącymi ich od wielu lat. Nawet kiedy w pewnym momencie przydarza się (lub nie) coś mistycznego, to nikt nie ma już siły tego roztrząsać ani się nad tym zastanawiać. Trzeba jechać dalej. Jak najszybciej wykonać zadanie – aby już nie krążyć w kółko.

Wszystko, co niesamowite w „Pewnego razu w Anatolii” dzieje się w małej chacie. Chacie, jakich Stasiuk mijał wiele. Położone gdzieś pośrodku niczego, wśród nicości, bez celu. Krajobraz wokoło - surowy i bezkresny. Tak jak gdyby czas się zatrzymał. Albo nigdy nie płynął. Jednocześnie widzimy jego działanie. Niszczące domy, wszechobecny brud i rozkład. Twarze ludzi pokryte zmarszczkami, ich ręce zniszczone pracą. Wszystko powoli niszczało wśród obojętnego krajobrazu. Te puste tereny przez lata należały do różnych państw, podlegały innym władzom, obowiązywały tam różne ustroje, ludzie wielu narodowości umierali i byli tam zabijani, działy się mniejsze lub większe tragedie: kogoś rzuciła dziewczyna, choć mówiła, że kocha; ktoś złamał komuś nos właściwie bez powodu; komuś zachorowała matka – a ziemia jest nadal taka sama, tak samo obojętna, tak samo wypalona.

Gdy Stasiuk obserwuje tych nikomu niepotrzebnych ludzi, którzy (jak sam mówi) równie dobrze mogliby zniknąć – da się poczuć dziwną ulgę. Pomimo tej całej ludzkiej beznadziei, można odnaleźć pochwałę prostoty, braku postępu, stania w miejscu – uczciwości. Tak jakby życie było taką małą zabawką, która niewiele znaczy. Możemy je zmarnować, siedząc gdzieś pod sklepem na końcu świata, a będzie w tym jakaś mądrość. W gruncie rzeczy wszystko jest tym samym, a ważne tylko, żeby dobrze się z tą swoją beznadzieją czuć. Trochę jak w „Ogrodzie” Martina Šulíka, gdzie główny bohater ucieka od wszystkiego, żeby zamieszkać w starym domu swojego dziadka. Zatapia się gdzieś w przeszłości; gdzieś głęboko w swojej wyobraźni; w dzieciństwie. Czuje się uwolniony, gdy ucieka od wszystkiego, co „ważne”, aby znaleźć się w niczym, a w tym niczym jakoś się odnaleźć i być szczęśliwym.

A więc po co podróżować?

Może po to, aby czuć tęsknotę za domem, gdy jest się w drodze i tęsknotę za drogą, gdy jest się w domu?

A może (tak jak stwierdza Stasiuk w „Osiołkiem”) dla samej jazdy i rozmyślenia w jej trakcie?

A może, żeby nie być jak Bernard z „Fal” Virginii Woolf pytający, czy Rzym to już naprawdę wszystko, co zobaczył w życiu?

A może dla pamięci?

O tym też jest po części „Fado” - o pamięci, która jest nierozzerwalną częścią podróży.

Same miejsca są tylko odbiciami danej chwili, w której żyjemy. Są takie same tylko przez moment - później istnieją już tylko w naszej pamięci. I nawet gdy próbujemy do nich wrócić - okazują się już nie być takie same (dowiaduje się o tym Stasiuk w „Jadąc do Babadag” widząc, że w miejscowości Abony (ani nigdzie indziej na świecie) nie znajdzie już tego, co niegdyś zauważył fotograf Ande Kertesz, bo ta chwila „przydarzyła się tylko jemu”).

A jeśli przyjmiemy, że nasza pamięć, to błyski rozrzucone po mapie - pozostaje nam jak Stasiuk stworzyć ze swoich wspomnień pudełko z banknotami o różnych walutach, po których wyciągnięciu będziemy przypominali sobie dane chwile i przeżycia. Dzięki tym wspomnieniom nasze życie jest jakieś. Dzięki nim nasze życie jest w ogóle życiem.

A więc pozostaje nam przypominać sobie te błyski, starać się odszukać w nich prawdę, łączyć je, szukać w nich jakiegokolwiek sensu. I kolekcjonować je, zbierać, łapać. Jak najwięcej.

Tymczasem trzeba po raz kolejny się spakować. Wziąć wszystko, co potrzebne i spróbować nie zapomnieć tych przeklętych kabli. Postarać się niczego nie zapomnieć.

